

Nie mam czasu na marzenia

Rozmowa z Krystyną Jandą, aktorką i reżyserem

— Spotykamy się w garderobie Teatru Powszechnego w Warszawie. Niedawno zeszła Pani ze sceny po zakończeniu występu w monodramie „Shirley Valentine”. Co oznacza dla Pani teatr?

— Teatr to publiczność. Gdy gram w teatrze, mogę się z nią spotkać bezpośrednio. Z tego, jak reaguje staram się rozszyfrować jej nastrój, co się dzieje dookoła. Teatr jest moim obowiązkiem, moim warsztatem, treningiem. Ja tu nie pracuję, ja tu się utrzymuję w formie.

— Shirley to Pani wielka rola. Prawie trzysta przedstawieli i ciągle ogromne zainteresowanie. Skąd triumf gatunku, który nie oferuje ani plejady gwiazd, ani rozmachu inscenizacyjnego?

— Na to pytanie może odpowiedzieć tylko publiczność. Podobno przez pięć lat grania „Shirley” prowadzone były badania socjologiczne na uniwersytecie na temat odbioru sztuki. Przeprowadzono ankiety wśród publiczności. Są tacy, którzy uważają ją za spektakl „energetyczny”. Ludzie przychodzą tutaj, żeby się podładować, pośmiać, porównując swoje życie z życiem Shirley. A dlaczego monodram? Jest znakomity. Zdobył zresztą kiedyś nagrodę za najlepszy tekst roku — nieprzypadkowo. Jego odbiór w całym świecie jest doskonały.

— Ale „Shirley Valentine” to tylko drobna cząstka tego, co robi Pani w teatrze. W jednym z wywiadów powiedziała Pani: mam dwa marzenia — zagrać w sztuce antycznej i adaptacji Szekspira. Oba się spełniły, dzięki „Medei” Eurypidesa i „Makbetowi”. Czas na kolejne marzenia?

— Już dawno nie mam marzeń. Jeżeli mam jakiś pomysł, to próbuję go zrealizować. Naprawdę nie mam nic wspólnego z osobą, która buja w obłokach. Traktuję aktorstwo jako zawód i myślę bardzo realistycznie. Na tyle długo jestem w tym wszystkim,

że nie mam marzeń nieosiągalnych, nie lubię się rozczarowywać.

— Czy ma Pani na myśli jakieś ostatnie rozczarowania?

— Nie. Wszystko było przewidywalne. No, może prócz tego, że przeczytałam gdzieś niedawno, że modne jest o mnie mówić źle. Rzeczywiście, ostatnio właściwie za wszystko co robię dostaję po głowie. Ale zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Co więcej, rozumiem to. Wiem, dlaczego są takie zarzuty. Tylko nie podoba mi się ton. Ostatnio naprawdę dobrze i zgodnie pisali o Teatrze Wierszalin i Carakiewicz. Też mi się to podoba.

— Zaczęła Pani od totalnej krytyki za „Człowieka z marmuru”. Teraz też nie jest Pani rozpieszczana. Czy był czas, kiedy głaskano Panią po głowie?

— Tak, ale wszystkie moje najważniejsze nagrody dostałam poza Polską.

— A nagroda „Złotej kaczki” tygodnika „Film” za całokształt działalności?

— Myślę, że trochę nie było wyjścia. Po prostu tytuły i znaczenie filmów, w jakich zagrałam, nie pozwoliły mnie zignorować. To była nagroda wynikowa. Moje szczęście polegało na tym, że w moje ręce wpadły te najważniejsze role. To nie nagroda dla mnie, ale dla szczęścia w życiu. Takie opinie słyszałam zresztą od krytyków, później w kuluarach. Nie było to miłe.

— Pieniądże zarobione w filmie pozwalają później na luksus zagrania w teatrze?

— Pieniądże pochodzą przede wszystkim z wyjazdów z teatrem w Polskę. Przez ostatnich kilka lat nie zdarzyło się, żebym nie



miała pełnej sali. Bywało, że grałam i w południe, i o drugiej w nocy. Nie wyobrażam sobie życia bez tego treningu, który mi pokazuje, czy jestem dalej „aktualna”.

— Pani aktywność w teatrze to także reżyseria.

— Bardzo to lubię. Pokochałam to przy „Heddzie Gabler” Ib-sena, którą wyreżyserowałam dla telewizji. Sprawila, że reżyseria jest czymś, na czym mi bardzo zależy. Potem był telewizyjny „Cyd” Corneille’a, „Na szkle malowane” Ernesta Brylla w Te-

atrze Powszechnym. Tę ostatnią sztukę zagraliśmy 140 razy i musieliśmy ją zdjąć z afiszy. Zespół góralski, który z nami występował, podzielił się na dwa i konflikty uniemożliwiły dalsze granie.

— Co w reżyserii jest takiego pociągającego? Poczucie władzy nad aktorami?

— Nie ma czegoś takiego. Na planie pracuję z przyjaciółmi. Rozumiem ich wszystkie problemy, z wahaniami głosu wiem, jaki problem ma aktorka w danym momencie, bo sama stałam na jej

miejszu przez wiele lat. Poza tym mam jeden sposób na pracę ze wszystkimi: bardzo dużo z nimi rozmawiam. Wszyscy przystępując do pracy ze mną wiedzą precyzyjnie, do czego zmierzamy. Za dwa dni zaczynam próby „Tutli-Putli” Witkacego. Rozpoczynam od trzydniowego spotkania z całą ekipą.

— Pierwszego — opowiadałam im wszystko o spektaklu: jaki będzie, po co, dlaczego.

— Czy to przekłada się na bezkonfliktowość na planie?

— Absolutnie nie. Tylko, że jeżeli są konflikty, wynikają one z „konstruktywności”, a nie z „destrukcji”.

— Skoro tak bardzo polubiła Pani reżyserię, na co możemy liczyć w najbliższym czasie?

— Ostatnio zrobiłam dla teatru telewizji „Tristana i Izoldę”, największą pod względem inscenizacyjnym i produkcyjnym sztukę, jaką dotąd reżyserowałam. W tej chwili rozpoczynamy próby do spektaklu na deskach Teatru Powszechnego „Panny Tutli-Putli” Witkacego w mojej reżyserii. Kilka dni temu otrzymałam wstępny projekt scenariusza, napisany przez panią Annę Bojarską do jej książki „Ja”. Na razie jestem w szoku. Pani Anna jest osobą niezwykle głębo-

ko niekonwencjonalną, maksymalistką. Książka opowiada o kobiecie, która jest podzielona na dwanaście postaci. Te postacie to samoistne byty. Wyrażają walkę charakterów, która toczy się w każdym człowieku. Jest wśród nich i dziecko, i starzec, prostytutka, terrorystka, zgwałcona dziewczynka, szaleniec. Bardzo trudno jest opowiedzieć taki film. Jego forma musi być jak sprawnie działający mechanizm zegarowy. Jak pokazać na ekranie dwanaście osób, każdą inną, które składają się na jedność? Wydaje się to tak trudne, że na razie patrzą na mnie, stukają się w czoło i uważają, że zwariowałam. Ale chyba warto się tym zająć.

— Czy nie boi się Pani, że będzie to film dla Pani, a nie dla publiczności? Ostatnio często mówi się, że nasi reżyserzy mają widza w pogardzie, bo robią filmy artystyczne, ale nie do obejrzenia.

— Można o mnie powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że nie myślę o publiczności, bo to myślenie jest rzeczą dla mnie podstawową. Jeżeli chce zrobić taki film, to przez dwadzieścia lat swej pracy udawałam, że nawet bardzo trudne rzeczy można opowiedzieć tak, żeby chciano je oglądać. Dwadzieścia lat gimnastyki, rozwiązywania szarad: jak coś opowiedzieć, jak co zostanie zrozumiane, uczenie się języka, który precyzyjnie trafi do widza. Prawda, że dotąd rozwiązywałam te szarady jako aktorka.

— A czy jest Pani zadowolona z efektów swojej pracy reżyser-skiej?

— I tak i nie. Jak ktoś powiedział, reżyseria to sztuka rezygnacji z tego, co ma się w głowie. Ale w gruncie rzeczy myślę, że umiem się porozumiewać z widownią. Dwadzieścia lat próbuję ją zdobywać. I warto o nią walczyć. Nikogo nie lekceważę.